

Była niekonwencjonalną, piękną kobietą. Wybitna aktorka, barwna indywidualność. Miała wielką kulturę słowa. Tak o zmarłej 31 stycznia Ninie Andrycz mówią ludzie teatru.

WSPOMNIENIE Takich postaci już nie ma – stwierdza krótko Elżbieta Baniewicz, krytyk teatralny.

– Była wielką damą. Wynikało to po pierwsze z jej ogromnej urody, ale także z ról, jakie grała. Był to repertuar, oparty na emploi, którego dzisiaj już właściwie nie ma, a ona miała emploi królowej. Grała bardzo różne królowe; bardzo sławna była jej rola Elżbiety de Valois w „Don Carlo” czy Lady Milford w „Intrygach i miłości” Schillera; grała Katarzynę II, Elżbietę I, Lady Macbeth. Specjalizowała się w królowych, ale potrafiła zagrać np. panią Dulską w Teatrze Polskim. Miała poczucie humoru na własny temat, pisała również poezję, wspomnienia – mówi Baniewicz.

– Była przede wszystkim aktorką teatralną, choć występowała także w filmach – pamiętam jej fantastyczną rolę w serialu, na podstawie „Sławy i chwały” Iwaszkiewicza, który reżyserował Kazimierz Kutz. Grała tam teściową księżnej Winnickiej. Ostatnią rolą, w jakiej wystąpiła, była rola Sary Bernhardt, wielkiej francuskiej aktorki, w przedstawieniu Janusza Stokłosa w 2011 r.

– Mówiła, że najważniejsza w życiu jest miłość i chyba naprawdę tak myślała. Była niezwykle barwną postacią, należała do historii teatru, konstituowała Teatr Polski, który – zwłaszcza po wojnie – pełnił rolę Teatru Narodowego. Narodowy w tym czasie był zburzony, przez pierwszych kilka lat po wojnie służył jako magazyn materiałów budowlanych, otwarto go dopiero w 1961 r. Teatr Narodowy nie istniał. Był Teatr Polski – za jej młodości i dojrzałości w nim mieścił się Narodowy. A ona była heroiną teatru – wobec niej można użyć takiego słowa. Już takich nie ma. Nie ma takiego repertuaru; klasyka jest coraz rzadziej grana. Coraz mniej oglądamy na scenie królowych, coraz więcej kobiet, które uprawiają zupełnie inne zawody.

– Niektórzy zarzucali jej graniu koturnowość, nadmierny patos. Ale po wojnie była potrzebna takiego aktorstwa, trafiało w swój czas, a ona wyznaczała pewne standardy grania i rozumienia tych ról. Była wybitną osobowością. Takich postaci już nie ma. Nie potrafiła przestać być królo-

wą także w życiu prywatnym: zawsze była damą, zawsze była zadbana, zawsze niezwykła. Nigdy nie zniżyła się do przeciętności – wspomina Elżbieta Baniewicz.

Aktor Teatru Narodowego Ignacy Gogolewski nie kryje, że każde spotkanie z Andrycz wywierało na nim ogromne wrażenie.

– W naszej pamięci Nina Andrycz pozostawiła wiele swoich świetnych kreacji. Bo odeszła od nas wielka aktorka, która przez ponad 70 lat była związana z Teatrem Polskim. Wśród wielu znakomitości tego teatru to Nina Andrycz najdłużej oddawała mu swoją energię i talent – stwierdza.

– Miałem ten zaszczyt, że grałem w sztukach u jej boku. Wśród nich wspominam jedną z moich pierwszych poważnych ról w „Miesiącu na wsi” Iwana Turgieniewa, gdzie wcieliłem się w postać studenta Aleksieja Nikołajewicza Bielajewa. To było jeszcze w latach 50. Inne spektakle, w których zagrałem u boku Niny Andrycz, to „Popołudnie kochanków” Józefa Hena, „Krzesła” Eugene’a Ionesco i „Maria Stuart” Juliusza Słowackiego.

– Każde spotkanie z Niną Andrycz wywierało na mnie ogromne wrażenie. Umiałem znaleźć się obok niej, jak np. w sztuce „Krzesła”, w której – jak pisał jeden z recenzentów teatralnych – „Ignacy Gogolewski umiał być pół kroku za naszą znakomitą gwiazdą”. Te słowa sprawiły mi ogromną satysfakcję – wspomina aktor.

– Nina Andrycz miała życie przepiękne, barwne, okraszane wieloma radościami. Teraz pozostaje nam smutek, miała długie życie, ale wszyscy chcielibyśmy żyć wiecznie.

– Trudno podsumować tak bogatą indywidualność. To jest niemożliwe, jeśli nie chce się popaść w banał. Pamiętajmy, że pozostawiła po sobie nie tylko wiele interesujących ról, ale również słuchowiska radiowe, książki, poezję. Była wszechstronnie utalentowana, mam nadzieję, że podkreślą to jej biografowie. Nina Andrycz była osobą nieprzeciętną i jako aktorka, i jako kobieta niebywalej urody.

– Osobny temat to jej małżeństwo z Józefem Cyrankiewiczem – wysokim dygnitarzem już minionej administracji. To wszystko składało się na całość jej życia. Nina Andrycz pozostawia nas teraz w zadumie, smutku. Musimy się z jej śmiercią pogodzić – kończy wspomnienie Ignacy Gogolewski.

O wielkiej aktorskiej klasie Niny Andrycz mówi także Barbara Osterloff, profesor Akademii Teatralnej w War-

To była wielka dama polskiego teatru

szawie, wykładowczyni historii teatru na wydziale aktorskim.

– Dla polskiego teatru Nina Andrycz ma ogromne zasługi; wiele jej ról wpisało się w „roczniki Teatru Polskiego” jako role ważne, często wybitne – podkreśla prof. Osterloff. – Należy do tego wspaniałego pokolenia, które chowało się w Polsce niepodległej, pod okiem Aleksandra Zelwerowicza w Instytucie Sztuki Teatralnej – była to wówczas bardzo nowoczesna uczelnia w skali Europy. Tam nauczyła się wielu rzeczy, które zwróciły na nią uwagę już w momencie, w którym kończyła Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej. To był rok 1934 i był to rocznik znakomity, który opuszczał szkołę, a później zaznaczył się mocno w teatrze. Z tego samego rocznika pochodziła także Elżbieta Barszczewska, z którą Andrycz konkurowała na scenie.

– Jej słynną przedwojenną rolą była rola Solange w sztuce Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”. Warszawie pozostała wierna przez wszystkie lata swojego życia i Teatrowi Polskiemu również. Jeśli mówimy o jej zasługach dla teatru, mamy na myśli właśnie te role, które zagrała na scenie przy ulicy Karasia za dyrekcji przede wszystkim Arnolda Szyfmana, ale także wielu innych dyrektorów.

– Można powiedzieć, że była „amantką liryczną” w początkach swojej twórczości – grała te wspaniałe młode kobiety o wielkiej urodzie i bardzo ciekawym wnętrzu, ale „amantką liryczną” pozostała na długie lata, nie bacząc na swój wiek. Myślę, że była niezwykle kobietą, która potrafiła wypowiedzieć się także w słowie pisanim. Pisała wiersze, a także powieść autobiograficzną pod tytułem „My, rozdwojeni”, w której opisywała swoje wejście do Teatru Polskiego i swój romans z Aleksandrem Węgierką. Miała wiele talentów, którymi zadziwiała do późnego wieku.

– Przyłgnał do niej przydomek „królowa”. Grała wspaniałe te wielkie role, heroiny romantyczne w klasycznej repertuarze. Potrafiła w rolach heroin pokazać wnętrza, konflikty, dramaty, wielką miłość i bunt wobec świata. Ale zagrała także Joannę D’Arc w „Świętej Joannie” Shawa; to była próba przełamania tego wizerunku królowej i królewskich ról we wspaniałych kostiumach.

– Miała wspaniałą dykcję, wielką kulturę słowa. Zagrała jednak i panią Dulską w Teatrze Polskim – w kapiach, bez makijażu – a także, pod koniec życia, zagrała w „Krzesłach” wraz ze swoim wieloletnim partnerem Ig-



Sylwetka

Nina Andrycz

11 listopada 1912

– 31 stycznia 2014

Aktorka, autorka tomików poezji i powieści oraz prywatnie – żona premiera PRL-u, Józefa Cyrankiewicza.

Widzowie pamiętają ją głównie jako odtwórczynię ról władczyń, królowych, arystokratek i dam, dlatego określano ją mianem królowej PRL-owskiej sceny.

Od 1935 r. grała na scenie Teatru Polskiego, gdzie stworzyła ponad 100 ról. Publiczność oglądała ją jako Marię Stuart w dramacie Juliusza Słowackiego i królową Małgorzatę w „Ryszardzie III” Williama Szekspira. Andrycz wcielała się jednak także w role m.in. Świętej Joanny, Kleopatry czy pani Dulskiej.

Ukończyła Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej pod kierownictwem Aleksandra Zelwerowicza (1934 r.). Przez pierwszy sezon występowała w wileńskim Teatrze na Pohulance.

Andrycz znana jest również z licznych kreacji w Teatrze Telewizji, gdzie pojawiała się regularnie od końca lat 50., aż do początku lat 70.

W kinie grała sporadycznie, m.in. w „Warszawskiej premierze” w reż. Jana Rybkowskiego (1950) i „Kontrakcie” w reż. Krzysztofa Zanussi (1980).

W 2008 roku wystąpiła jako ona sama w „Jeszcze nie wieczór” (reż. Jacek Bławut); w tym samym roku wcieliła się również w postać matki w „Sercu na dłoni” (reż. Krzysztof Zanussi).

Przez lata Nina Andrycz jako datę swojego urodzenia podawała 11 listopada 1915 r. W listopadzie 2013 roku „Polityka” opublikowała artykuł, w którym Andrycz przyznaje, że urodziła się wcześniej – 11 listopada 1912 r. – w Brześciu nad Bugiem. Na pomysł, by zmienić datę urodzenia artystki wpadła na początku wojny jej matka.

„Przy sympatii AK można było zdobyć papiery, jakie się chciało. Przyniosła nową kenkartę. Domyślała się, że okupacja może potrwać kilka lat i że jak się odejmie te trzy lata, będę lepsza do zamążpójścia” – tłumaczyła w wywiadzie dla „Polityki” Andrycz.

Jest autorką powieści „My rozdwojeni”, utworów poetyckich, zebranych w kilku tomikach m.in. „To teatr” i „Róża dla nikogo” oraz tomu wspomnień „Bez początku, bez końca”, w którym opowiada o rozkwicie kariery aktorskiej i małżeństwie z Józefem Cyrankiewiczem. Premier Cyrankiewicz jawi się w tych wspomnieniach jako wspaniały mężczyzna i kochający mąż.

W 2013 roku ukazała się książka Andrycz pt. „Patrzę i wspominam”. Artystka została odznaczona w 1996 roku Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

(PAP)

nacym Gogolewskim. To także był popis gry. Zrobiła wiele, by swój królewski wizerunek przełamać – stwierdza Barbara Osterloff.

Pelen podziwu dla sztuki Niny Andrycz jest również Olgierd Łukaszewicz, aktor i prezes Związku Artystów Scen Polskich.

– To aktorka legendarna. Zdołała jeszcze przed wojną uzyskać status gwiazdy, przede wszystkim teatralnej, bo film wtedy nie miał takiego znaczenia. Potem przeniosła go do nowych czasów i jako premierowa (żona Józefa Cyrankiewicza) egzekwowała – mówi.

– Przed rokiem poprosiliśmy ją o życzenia dla artystów weteranów scen polskich. Jej słowa były wzruszające, ale jednocześnie stawiające pewne wymagania. Nakazała swoim kolegom, aby gdy nie mogą już na scenie pokazywać swoich emocji, pisali książki, tak jak ona to zrobiła. Towarzyszyłem jej w czytaniu jej książki w bibliotece w Jabłonnej. Osoba stułetnia stała przez godzinę przed mikrofonem. Ja miałem niewiele do odczytania, mogłem podziwiać jej sprawność umysłu, jej koncentrację, dowcip. Potem przez kolejną godzinę rozdawała autografy. Była w niej ogromna siła.

– Poznałem bardzo głęboko myślącego, szczerego do bólu człowieka, co zresztą potwierdzała w swoich książkach. Osobę, która wyraża człowieczeństwo wraz ze wszystkimi sprzecznościami drzemiącymi w człowieku. W rozmowie okazała się bardzo ciepła, miła, choć wśród starszych aktorów – ja nie miałem okazji z nią grać – krążą legendy o tym, że była niezwykle wymagająca.

– Danuta Szaflarska opowiadała, że w pierwszych rolach pani Nina była osobą bardzo prostą, nie było w niej tej królowej. Od początku miała ogromne zdolności charakterystyczne. Jako młoda aktorka potrafiła zagrać bardzo różne charaktery, wielkie role, które od razu ustawiły ją wysoko w hierarchii.

– Studiowała prawo. Jej umysł był niezwykle zdyscyplinowany, co aktorom rzadko się zdarza i emocje zazwyczaj biorą górę. Ona umiała zaprezentować swoją wizję – stwierdza Łukaszewicz.

Reżyser Maciej Prus nie ma najmniejszych wątpliwości: – Nina Andrycz była niekonwencjonalną, piękną kobietą. Była niespokojna intelektualnie, obdarzona talentami, zawsze wzbudzała skrajne emocje. Za takimi osobami się tęskni. Łuki po nich nie można wypełnić.

(PAP)